

Faust w spódniczce w gabinecie kosmetycznym

Ilustr. J. Umińska.

Los jest złośliwy. Niema co go tłumaczyć. Złośliwy i koniec. Bo czyż to nie jest wyrafinowana złośliwość, że nas tam ktoś na górze fabrykuje na gotowo, seryjnie i zrzuca na ziemię, jak artykuły „made in Heaven”. Chcesz czy nie chcesz, dostajesz pyrkaty nos, zajęczkę wargę, świdrowate oczka, piegę i kilka brodawek, grzecznie zwanych ziarnkami piękności. Ktoś tam w górze po prostu urządza sobie zabawę z majstrowaniem kukielek, które

potem muszą sobie jakoś dawać radę na ziemi, chociaż są obciążone znakami szczególnymi, nie pomagającymi do zdobywania serc.

Właściwie powinno być zupełnie inaczej. W maeterlinckowskiej krainie nieurodzonych dzieci powinno się pytać duszyczki, które mają oblec kształt ludzki — jakie chcą mieć profile i kształty — egipskie, greckie, etruskie, rubensowskie czy prerafaelskie, czy też w stylu Hollywood.

W małym pokoiku lśniące metalowe potwory czekają na skinięcie białej rączki, by się rozprawić po swojemu z brzydota. A jakby dla reklamy w czarnej, błyszczącej powierzchni lampy kwarcowej, co liska szafirowym okiem, osoby, wchodzące do gabinetu jawią się jako pokraczne sylwetki, trójkaty „dźwigające” opuchnięte głowy. Tak się wygląda, gdy się tu wchodzi.

Z pelargonijowych usteczek „poprawiaczki natury” padają ważne słowa:

— Kiedy nie jestem umalowana, zdaje mi się, że jestem naga — powiedział to Pitigrilli. — Twarze kobiece można cudownie poprawić umiejętnym rozłożeniem pudru lub karminu.

Dawniej, brzydkiej kobiecie mówiło się: — „nie nosi ozdoby człowieka, ale cnota”. Albo — „Tak — ale jakie to szlachetne stworzenie”. Dzisiaj szlachetne, przez los sponsonowane stworzenie nie idzie do Instytutu Piękności i zamawia szlachetny profil i alabastrową karnację.

W Instytucie Piękności powiedzą co robić, żeby nie mieć solniczek, czy warto wstrzyknąć parafiny między łopatki, ile należy wyskubać brwi, co robić żeby nie gubić sztucznych rzęs w zupie i żeby serduszek wymalowane na ustach, przetrwało od świtu do świtu i nie dało się zetrzeć pocałunkami.

W tej chwili bezosobowa postać, siedząca na magicznym fotelu, zaczyna zakwitać mocnymi barwami. Chce zrobić furorę, na balu. Więc makijaż jest obliczony na wieczór. Powieki zielone, szmaragdowe oczy, czarne długie rzęsy. Paznokcie jeszcze nie gotowe — trzeba się namyślić. — Będą albo zielone (dobre do sukni), albo czarne, agatowe, jak muszkiety wymyte morską wodą. Profil w tej chwili jest, jakby powiedział ks. Pirożyński — „taki sobie” — ale zato cera jest z chińskiej porcelany, oczy błyszczą jak drogie kamienie (magiczny

kompres), usta nęcą soczystą czerwienią. Szara, bezbarwna kobieta zakwitnie taką gamą kolorów, że gdy przyjdzie wieczór wyda się kimś nowym, czarownym, nieznanym. Kilka godzin żłudy, kilka godzin narkozy i wiary we własny sexappel. Innym razem ucharakteryzuje się na brązową Malajkę, albo na May Wong. Dawniej byłaby smętą bohaterką z powieści Orzeszkowej, przysięgła i dźwigająca w sercu ciężki kompleks własnej brzydoty. Wkońcu dostałaby z tych zmartwień chronicznej flukcji i kamieni żółciowych, z zardrości o tamte, bardziej uprzywilejowane.

— Bo proszę pani, mój najukochańszy zachwycił się Normą Shearer — powiedziała wyblakła blondyna, o ptasim nosie — chciałabym się jakoś do niej upodobnić.

Na to potrzeba trochę henny, trochę rimmlu, kilku seansów masażu. Przyda się magiczny kompres, kąpiel w promieniach fioletowych, a potem kilka próbek karminu i różu. I z wyblakłej blondyny wyłoni się ciemnowłosa, bladolica Norma. Dawniej płakałoby biedactwo, ażeby nos przybrał gruntownie czerwoną barwę, szlochala, że on tamtak, a nie ja, a dzisiaj idzie do Instytutu Piękności i mówi — „on chce tamtej, bo jest inna niż ja, więc proszę mnie tak „zrobić”, żebym była podobna do tamtej”. Potem sprawca zamieszania do-

staje pomieszczenia zmysłów i nie wie czego się trzymać, a właściwie której, ale w każdym razie Norma Shearer, czy inna Marlena ma popsute zęby.

— Zrobię pani usta a la Joan Crawford — powiada tocząc literę „r”, jasnowłosa alchemiczka — i na wąskich, złych ustach pani Dulskiej maluje niecierającą się pomadką zmysłowe, kuszące wargi.

— Naogół wolę nie poprawiać tak radykalnie natury — zwierza mi się między jedną remontowaną pacjentką, a drugą — radykalnie można odnawiać skórę, odzyskiwać smukłość kształtów, z barwieniem trzeba być ostrożną, tak, jak z blagowaniem — prawda czasami wychodzi na wierzch...

W powietrzu unosi się subtelna woń róż syryjskich, uwięzionych w mleczku i słodka woń „kremu dobroczynnego”.

Faustyna w białym zielonym (kołor nadziei) fartuszkach tańczy wokół żywego obiektu i uśmiecha się do swego dzieła. Zrobiła przecież na złość losowi, brzydulkę zmieniła w ślicznotkę, pokrzyżuje plany ukartowane w górze, popłazie nici w teatrzyku marionetek.

— POCO mamy się trzymać kurczowo kolorowych próbek, które mi nas obdarzyła natura — powiada pani Mary. — Jeśli w karminowych ustach jest mi nie do twarzy, to należy zmienić barwę. Podsiadła powieki robi się na zielono, a jasne rzęsy na czarno.

— „Dawniej babcia robiła pończochy, i szalik w niespokojną krata...”

— „Dzisiaj mówi: — chcę mieć białe ramiona, ciało mocne, sprężyste i w kształtach dziewczęce...”

— „Chcę się podobać wszystkim i być oryginalną, polichromowaną rzeźbą...”

Tak brzmi jeden z wierszy pani Mary Mayer, która mieszając krem młodości w szklanym tygielku, dobiera jednocześnie kosmetycznych rymów.

W niklowych, pastelowych, wonnych pokojach odbywają się po-

ważne seanse wtajemniczania. To już jest cała szkoła kosmetyki. Osiemdziesiąt alchemiczek wydobywających piękno ze szpetoty, i walczących z cudzą starością wyszło stąd w świat. A że krzys krzysem — więc zamiast otwierać gabinety i czekać na klientki, odżywiają się mleczkiem syryjskim i karminem w miejsce chleba powszedniego — tworzą lotne oddziały, pogotowia ratunkowe („S. O. S.”, hallo — hallo — ratunku — zgubiłam lewą rzęsę!).

Za czasów Kleopatry i Fryne kosmetyka trudniły się nieuczzone niewolnice, dzisiaj — zdaniem pani Faustynki — powinny zabrać się do niej doktorki chemii, filozofii, fizyki i psychologii. Bo to podobno wiedza głęboka i szeroka jak morze, wymagająca znajomości anatomii ciała i duszy.

Gdy przyjdzie pani z noskiem jak rzodkiewka i chce zamówić grecki nosok, to trzeba jej psychologicznie, metafizycznie, inteligentnie wytłumaczyć, że tu się nie zmienia kształtów, tylko tło. Przecież na obrazach futurystów, zwykły karzechołczy czy główka salaty stają się arcydziełami, dzięki mądrze rozłożonym plamom tła. Grunt to koloryt.

Na ścianie barwy wody wisi srebrna antyczna maska. Puste oczodoły patrzą na żywe kobiety, które pomimo wszystko (ehuu!), rozsypią się prędzej czy później i zamienią w garść popiołu.

Na szafce szklanej pełnej słoików z eliksirami młodości stoi martwo-lące popiersie kobiety, o niezbadanym spojrzeń. Pod nią zegar płaski odmierza sekundy, z których każda zbliża nas do śmierci.

Tykanie czasu w instytucie młodości jest niepokojące. Trzeba wyrzucić z poradni świadomej piękności wszystkie zegarki. POCO przypominać, że nawet magiczne, fluidalne rączki Mary Meyer nie wyrwą nas ze szponów zbliżającej się chyłkiem — śmierci. Jak złudzenie to złudzenie. Na całego.

L. Ciechanowiecka.



A może właśnie wtedy byłoby seryjnie i nudno. Wszystkie pannie podobne byłyby do Greta Garbo, inna serja miałaby płaską a tragiczną twarz Marleny, Valentyń chadzałaby stadami, a Ramonów nie zliczyłoby się na li czydlach.

Może więc pogódźmy się z losem.

Tembardziej, że się przecież ludziska już zbuntowali i pozakładali poradnie świadomej piękności, gdzie się psuje robotę złośliwego losu.

Taka np. pani Mary Mayer robi mu wszystko na przekór. Los zmaistrował tłustą jejmość, o krzaczastych brwiach i brudno szarych włosach, a pani Mayer robi z niej cieniutką, epilowaną, złotowłosą ślicznotkę. Ma jakieś

luskaje nikiel nowoczesnych sprzętów, szkło i złoto i srebro na modelowych maskach. Reminiscencje antycznego świata. Maski, które mogą być równie egipskie i greckie, albo i kubitsyczne, patrzą z odległości wieków na kobiety wieku dwudziestego, które w sarkofagach egipskich i greckich willach, odnalazły eliksir życia i chcą, na podobieństwo kapłanki Arisatbaal z Kartaginy, czy królowej Kleopatry opancerzać się wonnymi maściami przed mikroblem starości.

Siedzi właśnie na magicznym fotelu, owinięta w prześcieradło i biel zawoju, bezosobowa postać, która może przed chwilą była zgrybiałą matroną, pomarszczona jak mumia. Pod dotykem fluidalnych palców, o rubinowych paznokciach, biegających po twarzy i nakładających warstwę lśniącego, chłodnego kremu o dziwacznej nazwie — rysy twarzy roztopiają się, maska sfabrykowana przez los zatracza ostrość konturów, topnieje niby wosk, przez chwilę widać tylko owal pokryty pokładem czegoś pachnącego i lśniącego, co ma zmyć z twarzy szpetotę, gęsie łapki, bruzdy, wyryte przez zawody,



także magiczne, fluidalne palce, no i faustowskie laboratorium pełne mikstur, pomad, kremów i tajemniczych aparatów, które remontują osoby sędziwe, zębem czasu napoczęte.

Laboratorium tego małego Fausta w spódniczce ukrywa się w ultra nowoczesnym domu przy al. Szucha, która jak rok długi pachnie wiosną i drzewami, tak tam jest cieniście i przewiewnie. Labirynt korytarzy i sal utrzymany w pastelowych barwach. Po-



Przed krótkami

Narzeczony

Trzech już narzeczonych miała p. Marcelina Złotkówna, doświadczona tedy była pod względem podłości męskiej, jak rzadko. Jeden zabiegał koło niej, zalecał się i ożenek przyrzekał, dopóki mu nie pożyczyla 170 złotych żywą gotówką. Wtedy od razu przepadł, jak kamień w wodę. W pół roku tylko potem doszły ją wieści, że za strycharza jest aż pod Kowlem, czy tam gdzieś w tamtych stronach, pod ruską granicą. Drugi był małomówny i tylko całymi dniami w kuchni siedział, kotlety wieprzowe wciął (inne niemu mu szkodziło), aż z panią miała awantury, że nie, tylko cięgiem kotlety wieprzowe na obiad robi. Nagle kawaler znikł, jak kamfora, a razem z nim książeczka oszczędności na 300 złotych, sukienka bordo, czystojedwabna, rypsowa, parasolka z kaczka głową, lakierki i bransoletka srebrna, łańcuszkowa masyw, z galką. Trzeci znówu tancerz był sławny na całą ulicę i po dancinгах ją prowadził, dopóki mu wksła nie dała na 150 złotych, że niby na kauce go potrzebował, o posadę się starając. Fordanserem miał być, a ją fordanserka obiecał zrobić, na Pańskiej, w „Gospodzie pod Sokolem”. Pięć miesięcy potem ten wksel spłacała, a on, sumograd, do Francji na roboty pojechał i tyle go widziała. Kiedy więc poczęła się kręcić koło panny Marceli czwarty narzeczony, doświadczona panienska powiedziała sobie:

— Szabas. Forsy na lekarstwo. Żadnych wksli. Kuferok z biżuterią i książeczką oszczędności na kłódkę, a klucz w zębach będę trzymała, rękami i nogami.

Taktyka panienki wydała rezultaty

cudowne. Kawaler, wiedząc, że przed ślubem dwuletnich oszczędności ukochanej Marcelki nie powącha, parł do ołtarza siłą. W trzy tygodnie zapowiedzi wyszły, a po miesiącu szli w pięćioro do kościoła. Panna Marcelina uciekała co chwila nos i oczy, wzruszona bowiem była bardzo, ale książeczki Pekao z ręki nie popuszczała. Tak sobie bowiem postanowiła, że on narzeczony, choć niechętnie, ale musiał się zgodzić, że posag da mu dopiero po złożeniu podpisów w zakrystii.

Przed samymi drzwiami narzeczony stanął i otarł pot z czoła.

— Czekajcie. Niech odsapnę. Podobnie źle z krótkim oddechem do kancelarii wchodzić. Daj Antos popalić — rzekł do drużby.

Antos nie miał papierosów.

— Dajno Marcyś na papierosy.

Marcyś poszukała w portmonetce, ale znalazła tylko samą koprowinę.

— Daj z tych posagowych. Skoczę na róg do budki.

Niepewną dłoń, wahając się, wręczyła narzeczonemu sto złotych. Stali przecież już jakby na stopniach ołtarza.

— Poczekajcie! — rzekł narzeczony i pobiegł do budki.

Czekali z pięć godzin, aż wreszcie, tonąc we łzach wróciła panna Marcyś do domu.

Podły człowiek nazywa się Józef Gasparczyk. Wczoraj w izbie grodzkiej XI okręgu otrzymał pół roku paki, w tydzień bowiem po niedoszłym ślubie spotkała go panienska na ulicy i oddała w ręce policji.

Very



Druty kolczaste Psują tereny narciarskie na Huculszczyźnie

Najlepsze tereny narciarskie na Huculszczyźnie posiadają wsie w pobliżu głównego grzbietu Karpat, w szczególności Worochta, Woronienka i Jablonica.

Niestety, w tych właśnie wsiach przyjął się fatalny zwyczaj ogradzania posiadłości huculskich aż po grzbiety wysokich gór, płotami z drutu kolczastego, którego nieprzejrzaną masę przostawili tu w 1917 r. Rosjanie i Austriacy. Drut ten, pierwszorzędnej jakości, trzyma się niestety dotychczas doskonale, mimo upływu 17 lat od okresu wojny w Karpatach Wschodnich.

W lecie stosunkowo niewidoczny na tle pól i połonin, w zimie specji okolice, odcinając się brzydkimi prostokątami od białego śniegu. Zasięki były już powodem wielu nieszczęśliwych wypadków, pomijając częste darcie ubrań narciarzy i niewygody, jakie powoduje przechodzenie płotów drucianych raz górą, raz pod

spodem, czołgając się na brzuchu, co ogromnie spowalnia tempo wycieczek narciarskich.

Być może, że skutkiem tego, że w ostatnich latach młode pokolenie huculskie coraz liczniej garnie się do sportu narciarskiego, miejscowa ludność rozumie nie stosowność tego rodzaju psucia terenów narciarskich.

Trudna sytuacja szkolnictwa prywatnego

Prywatne gimnazja średnie w Warszawie znalazły się w niezwykle ciężkiej sytuacji, wobec coraz bardziej pogarszającej się wypłacalności rodziców przy uiszczaniu czesnego. W wielu szkołach prywatnych nie pokryte zostało czesne za pierwsze półrocze. Dyrektorzy szkół prywatnych, prowadzonych przez spółki o charakterze handlowym, zamieniają się na spółdzielni przy udziale personelu nauczycielskiego.

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefon: 545 80 (Centrala). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 11 — 12.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zarząd 691-64. Prenumerata 691-66. Wydział ogłoszeń 691-56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — ABC Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cyganka 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnikiem do domu) i zamiejscowa — zł. 4.50 miesięcznie. Konto pocztowe P. K. O. Nr. 13550.

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalaty (na wszystkich stronach po 6 szpalat): na 1-iej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł. lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznacza się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1. tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Uciechowski.